



męka  
kartoflana

**JANUSZ RUDNICKI**



. . . w serii ukazały się . . .

---

Wojciech Albiński *Achtung! Banditen!*

Lidia Amejko *Żywoty świętych osiedlowych*

Andrzej Bart *Rewers*

Joanna Bator *Chmurdalia, Piaskowa Góra*

Dawid Bieńkowski *Biało-czerwony, Nic*

Szymon Bogacz *Koło kwintowe*

Jacek Dehnel *Balzakiana, Fotoplastikon, Lala, Rynek w Smyrnie*

Agnieszka Drotkiewicz *Teraz*

Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny, My zdies' emigranty,*

*Namiętnik, Podręcznik do ludzi, Tarot paryski*

Radosław Kobierski *Ziemia Nod*

Marek Kochan *Plac zabaw*

Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*

Wojciech Kuczok *Gnój, Opowieści przebrane, Senność,*

*Spiski. Przygody tatrzańskie, Widmokrąg*

Jarosław Maślanek *Apokalypsis '89*

Daniel Odija *Kronika umarłych*

Tomasz Piątek *Pałac Ostrogskich, Wąż w kaplicy*

Janusz Rudnicki *Chodźcie, idziemy, Śmierć czeskiego psa*

Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem, Ruchy, Zwał*

Sylwia Siedlecka *Szczeniaki*

Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo, Rebelia,*

*Żydówek nie obsługujemy*

Marek Soból *Mojry*

Magdalena Tulli *Sny i kamienie, Skaza, Tryby, W czerwieni*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

---

Janusz Rudnicki

---

Męka kartoflana

---

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011  
Wydanie II zmienione  
Warszawa 2011

## Słowo

Czuję się trochę tak, jakbym wydawał własne pisma pośmiertne. Jakbym przez lornetkę, nastawiając ostrość, patrzył na siebie samego gdzieś z połowy lat osiemdziesiątych zeszłego wieku.

Około trzydziestoletni facet z wąsem (zgól go, na miłość boską!) wysła z miasta Hamburg do miasteczka Maisons-Laffitte coś na kształt ballady o polskich złodziejach w Niemczech. Zaczynającej się od zdania *Pewnego razu zdarzyło się, że Czesiu, zawsze ustawiany na czujce, przepadł bez wieści.* Zdanie, którym wywija jak lassem, ale nikt jakoś na nie się nie łapie. Debiutujący prowincjusz chce karykaturować kod romantyczny, pije do klasyki (*Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści.*), ale co tam, Można żyć znacznie oddychać samo i niepotrzebna mu będzie maska tlenowa z rezerwuarem Sienkiewicza.

Pod koniec lat osiemdziesiątych student sławistyki (z okularami na pół twarzy) wysła do „Kultury” pary-

skiej drugi tekst. Odpisuje Grudziński, coś w stylu, że jak na opowiadanie o samotności to za dużo w nim wątków. Student drapie się w głowę, na jakiej podstawie ta bezczelna samotność przy pomocy jej wysłannika Grudzińskiego uzurpuje sobie prawo do tylko i wyłącznie jednego wątku? Następuje moment zwrotny, koperta z opowiadaniem o sąsiadce imieniem Uschi wędruje na ulicę Wiejską w Warszawie. I daje początek serii blisko pięćdziesięciu tekstów, które wysłałem tam do dziś (ponad dwadzieścia lat!). Występując po drodze gościnnie na łamach innych tytułów (ostatnio długi romans z „Machiną”).

Wkrótce po *Uschi* wyszły *Odwiedziny*. Dobrych kilkadziesiąt stron tylko dlatego, że mama, kiedy pierwszy raz przyjechała do Hamburga, pomyliła cukier z mąką i posłodziła sobie nią herbatę. Wtedy cukier w Hamburgu wyglądał tak jak mąka w Kędzierzynie-Koźlu. *Odwiedziny* były robotą pionierską w tym sensie, że duże partie pisałem składnią niemiecką z użyciem polskich słów. Stosunek bilateralny między obu państwami urósł tym samym do rangi płciowego.

Nie pamiętam, Bereza czy Lisowski, zdaje się, że Lisowski, wpadł na pomysł cyklu *Listów z Hamburga*. Chodziło o to, żeby w ramach stałej rubryki szybciej ukazywać się mogło to, co stamtąd wysyłałem. No i wysyłałem.

Szkoda, że nigdy nie udało mi się spotkać Jerzego Ficowskiego. Kiedy opublikowałem *Szulza '92* zerwał

współpracę z „Twórczością”, ogłaszając na łamach tejże pełen oburzenia list. A ja przecież z miłości pisałem, nie z nienawiści.

Podobnie jak o Dąbrowskiej i Nałkowskiej, wobec których uzurpowałem sobie prawo do bycia ich nieślubnym dzieckiem.

*Męka kartoflana* to pierwsze moje opowiadanie (z drogi. Nie zapomnę pewnej kuriozalnej recenzji, w której stało, że część o powodzi z roku 1997 to jeden z najbardziej udanych zapisów kataklizmu, który nas wtedy nawiedził. Tymczasem *Kędzierzyn-Koźle pod wodą* pisałem, kiedy zaczęło lekko padać, i naprzód miasto, a potem kraj zalałem wodą własnoręcznie. Niewdzięczny to zawód, literat, człowiek ma raz w życiu jakąś wizję, publikuje ją i zostaje reporterem. (Kiedy powódź się rozszalała i w Ka-Koźlu zalało cmentarz, byłem już w Hamburgu. Zadzwoił wtedy do mnie brat i powiedział, wracaj, bo nasz stary po mieście pływa.)

PS

Przejrzałem całość. Tu i tam przystrzygłem. Tu i tam wymyłem lekko przetłuszczone z wysiłku włosy. Wtarłem trochę żelu, postawiłem, zmierzwiłem, wysuszyłem. Teraz może iść, na Miasto.



I

## Można żyć

Pewnego razu zdarzyło się, że Czesiu, zawsze ustawiany na czujce, przepadł bez wieści. Może wrócił do Polski, mówili, kto go tam wie. Ostatnio trochę wracało. Na przykład ten, jak mu było... Rysiek, Rychu na niego mówili. Taki niewysoki, przy sobie. Zawsze jak wychodził, to pukał w stół, jak Niemcy, oni się tak żegnają, pukają w stół. Dlatego nikt go specjalnie nie lubił, tego Rycha. Niby z nami, Polak i tego, a puka w stół. Jak wyjechał, to niedługo przysłał list. Tego i tego, gnijcie tam na socjalu, a ja winogrona stawiam, pod przykryciem. Nie chcę tu kłąć, ale skurwysyn to on był. Tu Niemców naśladuje, a tam dla komuchów robi. Minęło gdzieś tak, ile? Pół roku? Przyjechał na zaproszenie i szukajcie mi merca, mówi, po stówie dam. Potem się rozmyślił. Przednie siedzenie mi pod dupą ucieka, mówi, wracam polonezem. Takich modeli tu jest pełno... no, ale ten Czesiu. Może on też wrócił? Albo papiery gdzieś po cichu złożył? Do Australii albo Kanady? Tutaj na azyl nie miał szans, strajkował raz, za Solidarności, ale nie miał poświadczenia ani nic. Że niby Niemiec, też mu

nie wyszło. Co mu odpisali? Że dziadek to w porządku, ale ojciec był pełnoletni, a miał papiery polskie, czy coś takiego. No i siedział na socjalu, tak jak wszyscy prawie. Skubnął coś w sklepie, sprzedał, pohandlował, takie o. Wierszyk se ułożył, nie będę go tu powtarzał, a zresztą, kto tego słucha: „Ech, Ludowa, chuj ci w serce, przez ciebiem na poniewierce”. Koniec. Aż żeśmy go na czujkę wzięli, to się, jak to mówią, ustabilizował. A tamten, ten... Rychu, utopił się. Pisał ktoś z Polski. Normalnie kąpał się i utopił. Potem my się śmiali, że ma teraz prawdziwą plantację pod przykryciem.

Czujka to jest fucha! Patrzysz tylko, czy ktoś nie idzie, a reszta rąbie. Wcześniej namiar, upewnić się, że czysto, do środka i fertik. A potem rozprowadzić, bo forsy to te skubańce w domu nie trzymają, chowają po książeczkach. Wiadomo, procenty, sknery jedne, bo miałem nie kląć. Fuchę miałeś, Czesiu, tak ci mówię, jak mnie teraz słyszysz, nie możesz powiedzieć. Za damski chuj inkasowałeś, bo kto tu łązi po bocznych ulicach w nocy, kto? Niemcy do tyry, telewizorek i nyny, kurwa, wojnę przegrali, długi płacą, a jeszcze tyle mają! Kto mi to wytłumaczy? I my w nagrodę dostaliśmy Rusa, a oni za karę Amerykana! I się buntują jeszcze, jeszcze im źle! Bądź tu mądry. Ale o tym Czesiu. Fuchę miał, spać mógł, jak my rąbali, bo kto tu kradnie, nie? Niemcy porządny kraj. No i Czesiu zniknął. Nie wiem, może do Australii albo do Kanady, ale to już mówiłem. Spróbowaliśmy raz bez czujki, wyszło. Drugi raz, też. My to ja i Inteligent. *Woher kommen Sie*, zapytali go raz w urzędzie, a on myślał, że to, tak jak w Polsce, chodzi

o pochodzenie, i mówi: *ich komme aus Intelligenz*. I tak zostało, Inteligent. Na mnie mówili Gościu, bo miałem azyl. Jak, to nikomu nic do tego, komuchy mnie tam do dziś pamiętają, wystarczy? Powiem tylko tyle, za to, co te czerwone pająki, Ruskie, zrobili w Katyniu, za to powinni odpokutować. Muszą. Jak ja się nie doczekam, to moje dzieci...

W Polsce są, stara zrezygnowała, nie chce przyjechać. Paczki ślę, żeby mnie pamiętały...

Za trzecim razem o mało co nie wpadliśmy. Rozebrałiśmy stereoanlagę, a tu klucz w drzwiach. Inteligent nauczył się – takie jedno zdanie po turecku – już zapomniałem, żeby było na nich, i chodu. Zemścił się ten wakat na czujce. Niby pełno ludzi, każdy się rwał, ale uczciwy to mało kto. Ten się spił, tamten się spóźnił, tak że musieliśmy wrócić do sklepów, jak na początku. Chodziliśmy na te zakupy, ale to marny geszeft, nawet nie ma co potem rozprowadzać. Inteligent tak się rozpuścił, że raz to wyniósł rakietę tenisową, za koszulą na plecach. Obrabialiśmy „hojnych”, znowu „braliśmy” i tak leciało. Knajpy, trochę dziewczynek... Ten Rychu, co się utopił, opowiadał raz, że go zatrzymali, drogówka, mierzą, powyżej trzech promili. To myśleli, że im się coś pomyliło, i go puścili. Ja w to nie wierzę.

Tak gdzieś kiedyś w maju, na początku, przyjechał Maturzysta. Mizerne toto, blade, niepozorne. Półtora nieszczęścia, jak to się kiedyś mówiło. Zaraz przed maturą uciekł, teraz tłumacz takiemu, że mógł skończyć. Gapi się na ciebie nieśmiało, głowę spuści i mówi, że tu chce żyć, gdzie wolna Polska jeszcze. Nawet Inteligent

się wzruszył, co dopiero ja. Tak jakbym syna swojego z przyszłości zobaczył, kiedy dorosnie. Naprzód trza było go ubrać. Inteligent się szarpnął, ja się szarpnąłem i był gotów. Nie ten chłopak. Niby nie chciał, krygował się, ale w wystawach to się ukradkiem przeglądał. My, że niby nic nie widzimy, mrugaliśmy do siebie, a duma nas brała od środka, aż miło. Maturzysta staje co chwilę, nadziwić się nie może tym sklepom, łapie się za głowę, jęczy, a my oprowadzamy go, jakby to wszystko było nasze, tacy dumni. Człowiek się żyje z miejscem, przyzwyczajają, może mi kto mówić, co chce. Ubranie z Polski kazaliśmy mu zostawić, przyda się, jak będzie po socjał szedł. Poszliśmy do knajpy polskiej, to już się całkiem rozczulił. Flaczki, jedna butelka, druga i życiorysy na stół. Nawet nie wiedziałem, że Inteligent siedział razem z internowanymi, bo ich wtedy pomieszali. Pieśni się różnych nauczył, nawet zaczął: „O, Panie Boże, Ojczy nasz”, ale przyszła kelnerka i powiedziała, że to nie kościół. Maturzysta rozkleił się i wyplakał z siebie wszystko. Głupich nauczycieli, ojca, co nic nie rozumiał i mówił, że trzeba pracować, bo bez pracy nie ma nic, kolegów z klasy, co to tylko za dupami i interesami, i Solidarność, bo kto tam jeszcze o Bujaku myśli. Wpakował się do ciężarówki holenderskiej, wcisnął gdzieś między paki i tak przejechał. Na granicy puścili do środka psa. Ten pies stanął przed nim, ślepia mu błyszczały i patrzył, ten na tego, a ten na tego. Maturzysta serce ma w gardle, jeszcze teraz miał, jak to opowiadał, i nie rusza się. W końcu strażnik zawołał i pies normalnie wybiegł. Zrozumiał mnie, zrozumiał mnie, szłochał Ma-

turzystą. Podniosłem za zdrowie tego psa ludzkiego, bo dzięki niemu spotkaliśmy się i będziemy trzymać się razem, wypiliśmy, a Inteligent powiedział, słuchaj, Maturzysta, ty masz inteligencję wrodzoną, ja nabytą, a Gościu ma azyl. Co nam więcej trzeba? Wszyscy jesteśmy Polakami, tu, na obczyźnie, i musimy trzymać się razem. Maturzysta dziękował, żeśmy się nim zajęli, żeśmy go tak przygarnęli jak prawdziwa rodzina, a Inteligent pchał mu pod nos pięść i krzyczał, że wszyscy trzej jesteśmy jak ona, ta pięść biało-czerwona. Maturzysta zgodził się, ale niech wykreśli to czerwona. Ja go poparłem, bo czerwieni mi już nikt nie wmówi, i stanęło na białej. Inteligent miał wtedy swój dzień do gadania. Tutaj jesteś wolnym człowiekiem, możesz robić, co chcesz, najwyżej cię zamkną, klarował Maturzyscie. Ja musiałem mu potakiwać, bo pytał mnie ciągle, jest tak, jak mówię? Tutaj oddychasz powietrzem wolnego świata, mówił, ale to musiał gdzieś przeczytać i zapamiętać sobie. Często tak robił, żeby zaszpanować młodym spadochroniarzom. Szwabom się nie daj, bądź Polakiem, zresztą, już my cię we wszystko wprowadzimy. Będziesz stał na czujce, jakby co, to tylko dasz znać. Maturzysta domyślił się, o co chodzi, i wrzeszczy na całą knajpę, że on to nie będzie nigdy kraść. Kto ci każe kraść, kto ci każe kraść, postoisz tylko, jakby co, dasz znać. My tu jesteśmy jak Robin Hood, bogatym zabieramy, oddajemy biednym, pół darmo. I zaraz się Inteligent ni stąd, ni zowąd rozkleił. Dziadka sobie przypomniał. On go nie znał, ojciec mu opowiadał, jak go zabili żywcem hitlerowcy. Ja dorzuciłem coś ze swojej rodziny,

ale żebym był pewien, to nie powiem, a Maturzysta też tam kogoś miał, tylko że go ukatrupili sowieci, a to wiadomo, jedna i ta sama zaraza. Komunizm to na czerwono polakierowany faszyzm, krzyknął Inteligent, ale to też musiał skądś znać, chyba z jakiejś demonstracji. Wypiliśmy na koniec zdrowie naszych pomordowanych przodków, tego psa i w ogóle wszystkich psów, i holenderskich kierowców, i na pohybel komunie.

Ten Rychu mi po głowie chodzi, ten, co się utopił. Człowiek planuje coś, kombinuje, rodzinę zakłada, bo żenić się chciał, i koniec, pod wodę, cisza. Szkwał tylko.

Odprowadzamy Maturzystę do obozu, noc, a ten drze się na całe gardło, śpiewa coś, tańczy, bo mu Inteligent nagadał, że wszystko wolno. Co on to śpiewał? Jakoś tak: „Nie zdechniemy tak szybko, jak sobie roi śmierć, ziemia dla nas za płytka, fruniemy w górę gdzieś”. Często to śpiewał, jak piliśmy. Nagle suka i sprawdzają nas. Maturzysta obejmuje gliనిarza, ścisza go, *Solidarität, Solidarität*, krzyczy, *ich aus Polen, Pologne, Polonia, Freiheit für Polen*, tośmy go wzięli szybko pod ramiona, wytłumaczyli grzecznie, co i jak, że dopiero co przyjechał, nowy jest, a tam mu całą rodzinę zamknęli i że on prawie jak sierota, *Waisenkind*, znaczy. Puścili nas pod warunkiem, że zaraz z nim do obozu. Umówiliśmy się na jutro, no i co?

No i było nas trzech: Inteligent, Maturzysta i ja.

On nie od razu stanął na tej czujce. Ile to było gadania... Dopiero jak musiał na znaczek od nas do Polski pożyczyc, wtedy pękł. Pękł, bo miękki był, to też. Inteligent dał mu pięć dych, bądź wieczorem tam i tam,

powiedział i Maturzysta przyszedł. Poszło jak zwykle. Na drugi dzień rozprowadziliśmy towar i kiedy doszło do podziału, to ten nic. Nie weźmie i koniec. Szlag nas trafił, Inteligent chciał nawet tę forszę wyrzucić, a mi się spodobało, że taki wrażliwy. Poza tym pierwszy raz to zawsze ciężko. Dobra, mówię, za twoją dolę robimy wycieczkę, na przykład do Kolonii. Oczy mu zalśniły, bo kto by nie chciał świata zobaczyć, wzbraniał się, tego, ale już mówił o katedrze, bo słyszał o niej i oglądał na zdjęciach. Wypiliśmy na to konto, a wieczorem do Patriotki. Równa dziewczucha, niby do wszystkiego, ale zasady miała. Niemców skubała równo, dla nas zniżka patriotyczna, ale niech który ją potraktuje jak kurwę, za drzwi. Kto szarmancki, kulturalny, dostawał, co chciał. A jeszcze jak kwiaty jej się przyniosło, to miałaś wszystko, ze śniadaniem. Taki Niemiec się w niej zakochał. Przychodził codziennie, do knajpy zapraszał, mercem wszędzie woził. Patriotka nic. Żenić się chciał, a ta jak kamień. Idź za niego, Patriotka, mówili my jej wszyscy, hajtnij się, trzy lata miną i papiery masz, a ta się uparła. Na uczucie czekała, to jej pukali po głowie, że na księcia czeka. Jeszcze była ładna, potrafiła się czasami tak zrobić, że oko stawało albo, jak to mówił Czesiu, ten pierwszy z czujki, chuj bolał patrzeć. Kwiaty kupiliśmy, Maturzyście do ręki wepchali i wchodzimy. Skrzywiła się, że małolat, bo wyglądał jeszcze młodziej, no jak szczeniak, ale jak się dowiedziała, że maturzysta, to jej nawet zaimponowało, no i jeszcze te kwiaty. Butelkę nawet sama wyciągnęła. Później się okazało, że akurat miała urodziny. Ile ona mogła mieć lat? Wyszliśmy z In-